



PISMO TYGODNIOWE.

Nr 17.

Rok 1922. WARSZAWA, 22 Kwietnia

Rok LV

WIELKI TYDZIEŃ EUROPY.

Europa miała w tegorocznym Wielkim Tygodniu swój Wielki Tydzień — polityczny. Konferencja bowiem Genuńska, która stała się punktem ogniskującym uwagę świata politycznego, odbyła posiedzenie inauguracyjne 10 kwietnia w poniedziałek, nazajutrz po Niedzieli Palmowej.

Wiadomo, ile pragnień i nadziei jedni, ile obaw i niepokojów inni — wiążą z obradami tego sui generis parlamentu Europy.

Pierwsze częściowo, ale charakterystycznie streścić się dają w doskonałym bon mot, użytym przez Lloyd Georgea w jego przemówieniu wstępnym: Kolumb niegdyś w Genui odkrył Amerykę, oby dziś odwrotnie Ameryka odkryła w Genui Europę.

Istotnie konkretny rezultat Zjazdu, którego celem jest gospodarcza przede wszystkim odbudowa Europy, niemożliwy jest do osiągnięcia bez udziału Ameryki. Otóż Ameryka w obradach Zjazdu udziału czynnego nie bierze, wyznaczając swemu delegatowi rolę biernego obserwatora tylko.

Od faktu tedy, czy międzynarodowy parlament w Genui dojdzie do jakichś uchwał pozytywnych i zgodnych, zależy może w rzeczy samej fakt, czy amerykański „obserwator“ będzie w stanie „odkryć“ w Genui Europę, jako całość, jako tako jednolitą i wyraźną w dążeniach. W dalszej zaś konsekwencji zależy od tego rzecz najważniejsza, czy Ameryka zdecyduje się żyrować weksel Genuński na odbudowę Europy, czy też się na to nie zdecyduje. To jest Hamletowskie *to be or not to be* Europy. Z góry bowiem powiedzieć można, że bez tego jedynie wypłacalnego podpisu Ameryki znaczenie weksla Genuńskiego redukuje się niemal do zera.

Kwestja jednak, czy na horyzoncie grodu, który był ojczyzną największego „odkrywcy“ w dziejach świata, da się odkryć Europę, jako pozytywną i — jeśli nie zupełnie harmonijną — to jako tako przynajmniej scharmonizowaną całość, — zależy w zupełności niemal od politycznej strony europejskich zawikłań.

I tu jest właśnie miejsce na owe obawy i niepokoje, które również znalazły wyraz zaraz na wstępnym posiedzeniu w starciu między p. Cziczerinem a p. Barthou.

Przedstawiciel Sowietów, którego każde wystąpienie budzi w tym zgromadzeniu międzynarodowym z góry zrozumiałą sensację, w sposób zręczny — aczkolwiek w jego ustach, w ustach przedstawiciela tak bardzo despotycznej i militarnej organizacji państwowej — najmniej może uprawniony, wysunął popularny, wśród Włochów i Anglosasów zwłaszcza, postulat rozbrojenia. Przedstawiciel Francji musiał, rzecz jasna, przywołać to sowieckie enfant terrible Europy do porządku dziennego obrad, ustalonego w... Cannes i Boulogne. Właściwie powinien to być ex prezidio uczynić przewodniczący konferencji, którym jest premier włoski, de Facta. Fakt, że w dokonaniu tego obowiązku musiał go zastąpić delegat francuski, rzuca również charakterystyczne światło na Konferencję.

Bądź co bądź incydent ten, aczkolwiek nie bez zgrzytów formalnych, załatwiono wszakże merytorycznie w myśl legalnego stanowiska Francji.

Po za tym nastąpiły inne nie mniej znamienne incydenty, już na posiedzeniu Komisji politycznej: Węgier, p. Bethlen, wniósł protest przeciw nieposzanowaniu

przez Czechosłowację prawa o mniejszościach narodowych, a p. Cziczerin wystąpił przeciw ni mniej ni więcej, tylko... udziałowi w obradach Rumunji i Japonji, a to dlatego, że pierwsza w Besarabji, druga na Dalekim Wschodzie, „zaokupowały“ terytorja niegdyś rosyjskie. Oczywiście tak jeden jak i drugi protest z łatwością usunięto z porządku dziennego.

Te nieszkodliwe narazie błyskawice czy „łyskawice“ tylko na niebie genuńskim, świadczą jednakże, iż atmosfera polityczna Europy powojennej istotnie przeładowana jest elektrycznością. Czy uda się ją „wyładować“ w sposób bezpieczny i — pokojowy, a gospodarczo twórczy, co właśnie jest celem konferencji Genuńskiej, to przyszłość najbliższa pokaże.

Z naszej strony możemy zanotować na samym wstępie podwójny sukces polski. Sprawa naszych granic wschodnich stoi dobrze, o tyle przynajmniej, że mowy zdaje się nie ma o zakwestjonowaniu jej na Konferencji, podczas gdy, jak widzieliśmy, wschodnia granica Rumunji została demonstracyjnie zakwestjonowana, chociaż, co prawda, skończyło się, jak się w tym wypadku skończyć musiało, tylko na jałowej demonstracji.

Drugi nasz sukces, to wybór znaczną większością do podkomisji politycznej p. Skirmunta, w charakterze rzecznika grupy państw bałtyckich.

Oba te fakty są miarą wzmożenia się politycznej powagi Polski w Europie i zdają się gwarantować ten co najmniej minimalny nasz postulat, że o nas nie bez nas stanowiąc się nie będzie.

Irena Pannenkowa.

EKONOMJA A ETYKA.

Ponad światem i życiem, ponad tem wszystkim, co nas otacza, unosi się szczytny ideał sprawiedliwości, ideał tak wielki, tak święty, że ludzkość nie wahała się złączyć go z imieniem samego Boga... Dąży do ideału tego człowieczeństwo całe. Czy go osiągnie?... Trudno na pytanie to dać kategorię odpowiedź. Jedno tylko stwierdzić można, że badania teoretyczne ideę sprawiedliwości niejako za cel sobie postawiły. Około niej, obracają się wszystkie najważniejsze nauki społeczne, a w szczególności: prawo, etyka i ekonomja.

Prawo jest, że tak powiemy, uzewnętrznieniem sprawiedliwości, jest jej życiowym wykładnikiem. Ono najbardziej ze wszystkich nauk społecznych zastosowuje sprawiedliwość w życiu—ono w imię jej dobra powstało... Jeżeli czasem nie czyni zadość wymaganiom ideału—to tylko przez omyłkę, lub przez splot nieszczęśliwych okoliczności...

Etyka winna stwarzać te sprzyjające okoliczności. Przypomina ona człowiekowi o wypełnianiu jego obowiązków, a przez to już nie pozwala na czynienie krzywdy bliżnim i staje się poważnym regulatorem stosunku jednostki do społeczeństwa.

Co dla ideału sprawiedliwości czyni prawo drogą przymusu, a etyka przypomocy perswazji—to ekonomja społeczna uskutecznia na gruncie dobrze zrozumianego interesu.

Większość szkół ekonomicznych wychodzi z założenia sprawiedliwości. Widzimy to już w nauce Smitha. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że głoszona i zalecana przez niego teoria wolnego handlu sprawiedliwość miała na celu. Dążył był Smith do stworzenia równowagi gospodarczej drogą wyrównania podaży i popytu. Nie jego wina, że równowagi tej osiągnąć się nie dało. Na gruncie idei sprawiedliwości rozdziły się wszystkie odłamy socjalizmu, wśród których na szczególniejsze uznanie zasługują utopiści. Nie wiele, co prawda, pozostało z tego programu do realizacji—nie mniej zwrócenie uwagi na pewne w stosunkach gospodarczych niesprawiedliwości poważną jest zasługą i daje podstawy do dalszych studiów, do dalszych wniosków, które rozwija i Karol Marx i jego zwolennicy i rewizjoniści i wszyscy socjaliści z katedry.

Rozwój przemysłu wielkiego, wzbogacając jednych, podciął egzystencję innych. Rzemieślnicy dużo stracili, a robotnicy stali się niewolnikami maszyn i nie zawsze wystarczali osiągniętymi zarobkami na utrzymanie rodzin. Zwróciło to uwagę takich jednostek jak Saint-Simon, Enfantin, Owen, Fourier, Blanc i Proudhon. Chcieli oni przeobrazić formy społeczne, wychodząc z zasady obrony interesów pracy. Piękne musiały być te zasady, skoro znalazły one odzwierciedlenie w romantyzmie, skoro przejęli się niemi ludzie tej miary co Mickiewicz, Worcel i Świętosławski. Niezapominajmy o tem, że socjalizm utopijny inaczej socjalizmem humanitarnym się zowie. Marx w założeniu swoim również staje na tem samym etycznym stanowisku obrony pracy. Jego materializm uważać należy za środek do osiągnięcia idealnego celu.

I on, jak wszyscy zresztą ekonomiści łączy etykę z ekonomją. To samo da się powiedzieć o socjalistach z katedry, którzy zrealizowanie swoich ideałów ekonomiczno-etycznych widzą w zorganizowaniu idealnego państwa. Możemy śmiało powiedzieć, że wszystkie szkoły socjalistyczne obracają się około dwóch zagadnień, około pracy i własności. Można więc opierać się tu o skuteczność środków. Cele zasadnicze nie budzą u nikogo najmniejszego zakwestjonowania. Są one identyczne z celami przedstawicieli innych kierunków.

Wielką dążność do zasad sprawiedliwości ujawnia szkoła solidarystyczna, która bądź co bądź, wywodzi swój rodowód od Roberta Owena i od „sprawiedliwych“ pionierów roczdalskich. Akcentując wspólność wszystkich i wszystkiego, uczy nas solidaryzmu, że, wyrządzając komuś krzywdę, wyrządzamy ją sobie... A krzywda ta niekoniecznie może być uczyniona bezpośrednio i z rozmysłem. Wystarczy tutaj niewypełnienie jakiegoś obowiązku społecznego, zaniedbanie, negacja.

Ideę sprawiedliwości szerzą szkoły tak zwane „etyczne“. Jest ich kilka. Na pierwszym miejscu postawić należy tak zwaną szkołę katolicką. Należy jej się to pierwszeństwo już chociażby ze względu na przeszłość. „Istniała w III-im wieku po N. Chr. w Aleksandrii—pisze prof. A. Espinas¹⁾—znakomita szkoła wzniosłej filozofii. Ale czyż można oczekiwać jakiegokolwiek doktryny ekonomicznej od ludzi do tego stopnia upojonych metafizyką Platona, że wstydzi się wprost iż mają ciało?“ „Chrześcijaństwo—czytamy dalej—który rozwijał się współcześnie był religją; bardziej bezpośredni miał związek z życiem praktycznym“. Ale i on stał na gruncie całkowitej negacji bogactwa. „Bogacz z trudnością wnijdzie do Królestwa Niebieskiego. Jeżeli chcesz być doskonałym, idź sprzedaj majątności twoje i rozdaj ubogim, a będziesz miał skarb w niebie, a przyszedłszy naśladuj mnie“. Z biegiem czasu pojęcia te ulegają rewizji. Późniejsi Ojcowie Kościoła, już w wiekach średnich, znani w nauce ekonomicznej pod nazwą kanonistów, tworzą pewnego rodzaju szkołę, stając na gruncie praw własności i pracy. I oni odrzucają bogactwo jako cel życia, potępiając spekulację idą tak daleko, że zabraniają pobierania procentów od pożyczek i uważają to pobieranie za lichwę. Własność traktują Ojcowie Kościoła jako pewnego rodzaju depozyt i opierają ją na prawie pracy. Ten tylko może być właścicielem tej lub innej rzeczy, kto na tytuł właściciela zapracował. Zasady te ulegały z biegiem czasu pewnym modyfikacjom, aż nareszcie znalazły swój ostateczny wyraz w encyklice Leona XIII-go „Rerum novarum“, ogłoszonej w 1891 r. Encykliki tej nie należy, oczywiście, uważać za traktat naukowy. Zawiera ona jednak tyle zdrowych myśli, tyle podstawowych praw, że daje oparcie teoretykom ekonomji do dalszych jej naukowych opracowań. Troską Leona XIII-go była poprawa bytu warstw

ludowych, warstw ekonomicznie słabszych. Ta poprawa nastąpi wtedy, gdy w stosunkach gospodarczych będą „panować zasady etyki chrześcijańskiej, powszechnie przyjęte, bez względu na poglądy wyznaniowe“. Zbliżone bardzo do szkoły katolickiej zajmuje stanowisko i szkoła protestancka. I ona „występuje z równą siłą przeciw dzisiejszym stosunkom, potępiając szczególnie konkurencję i pogoń za zyskiem“. Zwolennicy szkoły tej pragną zorganizować przemysł na zasadach demokratycznych, co znalazło swój wyraz w stowarzyszeniach Schützego z Delitzsem. Wreszcie nadmienić nam wypada o tej szkole etycznej, która, odrzucając sprawy religijne, stoi również na gruncie wybitnych przeobrażeń społecznych.

Karol Gide, oceniając te trzy kierunki, zaznacza, że „szkoły chrześcijańsko-socjalne nie zajęły w nauce miejsca, któreby się im istotnie należało, głównie z powodu nieudolności, z jaką większa część zwolenników tych kierunków przedstawia swe poglądy i broni swych zasad“, że „chcąc sobie zdobyć stanowisko w nauce, należy bronić swych tez i zwalczać przeciwników argumentami naukowymi, rzeczowo udowodnionymi, a nie odwoływać się bezustannie do zdania jednego lub drugiego pisarza, choćby największego“.

Słuszne te uwagi bezwzględnie na uznanie zasługują, a rozszerzaniu się pierwiastków etycznych w nauce ekonomicznej tylko korzyść przynieść mogą.

Naszem zdaniem wszystkie kierunki etyczne w drobnych tylko szczegółach różnią się między sobą i posiadają wiele cech wspólnych. Wynalezienie tych cech i racjonalna ich obrona stanowi wdzięczny temat dla teoretyka-ekonomisty.

Szkoły etyczne bardzo silnie podkreślają zasadę sprawiedliwości. Z tego wychodząc założenia pragną sprawiedliwego podziału bogactw, ale pragną podziału tego dokonać drogą ewolucji społecznych, przez społeczeństwo wywołanych. Jako środek do tego celu szkoły etyczne wskazują jedynie drogę asocjacji i w tym względzie są bliskie szkołom solidaryzmu. Nie budzi najmniejszej wątpliwości, że z czasem te cztery już kierunki zleją się naukowo w jedną całość. W tym duchu pracował przedwcześnie zgasły, uczony polski, ś. p. Włodzimierz Czerkawski. — Kto pracę tę kontynuować będzie, ten bezwątpienia dobrze przysłuży się nauce, a przez nią wywrze wpływ dodatni na prawidłowe ukształtowanie się stosunków gospodarczych. Już w dzieciństwie matki nasze uczyły nas słów Bożych: „Nie czyn tego drugiemu co tobie niemiło“—prosta ta zasada rozwija się w nauce ekonomicznej i znakomicie tłumaczy się na gruncie dobrze zrozumianego interesu. Jeżeli dużo wytworzysz nie tylko sam się zбоżacisz, ale i bliżnim dobra przysporzysz. Wszelka spekulacja posiada stronę złą, odwrotną. Jej sposoby najczęściej zwracają się przeciwko swoim wynalazcom. Wszystkie zjawiska ekonomiczne można w ten sposób tłumaczyć. Życie dostarcza tu bardzo wiele, bardzo ważkich argumentów. Cezary Łagiewski.

¹⁾ A. Espinas „Historja doktryn ekonomicznych“.

PREMIUM DLA PRENUMERATOREK „BLUSZCZU“.

Chcąc uprzystępnić prenumeratorkom naszym możliwość nabywania arcydzieł literatury wszechświatowej, uzyskaliśmy znaczną ilość egzemplarzy znakomitego dzieła Wernera Heidenstama p. t. *Epopeja Rycerska „Carolinerna“* w przekładzie Stanisława Miśkiewskiego. Niezwykle zajmującą i pod względem artystycznym wybitną książkę, która swego czasu otrzymała nagrodę Nobla, możemy sprzedawać prenumeratorkom naszym po 400 mk.—podczas gdy jej cena księgarska wynosi 600 mk. Zamówienia łącznie z przedpłatą przyjmuje administracja „BLUSZCZU“.

OPIEKA SPOŁECZNA NAD DZIECKIEM.

RYS HISTORYCZNY.

I.

Szybki rozrost ludności w ostatnich dziesiętnościach lat zeszłego wieku dzięki skutecznemu zwalczaniu nagminnych chorób zakaźnych sprawił, że środowiska miejskie poczęły szybko rosnać i rozwijać przemysł, który zatrudniał setki tysięcy robotników. Taki stan rzeczy był do niedawna w Niemczech, lecz następstwem jego stało się to, co już od wieku działo się we Francji t. j. szybka demokratyzacja społeczeństwa, wzrost potrzeb kulturalnych szerszych warstw, byt ekonomiczny coraz trudniejszy, a jako wynik ostateczny cofanie się liczby urodzeń. Zjawisko to największe rozmiary przybrało we Francji i dla tego tam zrodziła się potrzeba opieki społecznej nad dzieckiem t. j. przyszłością narodu. Jeżeli bowiem społeczeństwo stoi przed faktem naturalnym cofania się liczby urodzeń, zmuszone jest ująć w karby rozwój społeczeństwa, który dotychczas natura sama regulowała. I powstała z jednej strony wielka literatura, jak dziecko powinno się rozwijać i jak należy je uchronić od śmiertelnych chorób niemowlęcych, które do niedawna zabierały 30 a nawet i więcej na 100 urodzonych dzieci. Z drugiej strony ruszyło się sumienie społeczeństwa, zagrożonego w swym bycie na przyszłość, i zaczęło w życie wprowadzać to, co nauka uznała za konieczne dla otrzymania przy życiu urodzonych niemowląt. Na wezwanie prof. Budin'a z Paryża, twórcy całego ruchu, zorganizowano w krótkim czasie w całej Francji t. zw. „Gouttes de lait“, w których pod kierownictwem lekarza udzielano porad higienicznych i pomocy materialnej matkom z niemowlętami. I skutek tej akcji nie pozwolił długo na siebie czekać, gdyż już po dziesięciu latach śmiertelność wśród niemowląt w Paryżu spadła do 10,4 na 100 urodzonych. Za przykładem Francji zorganizowano podobną opiekę społeczną w innych krajach z podobnymi wynikami, gdyż w Amsterdamie śmiertelność niemowląt w z. 1907 spadła do 8,9%. W Niemczech istnieje dzisiaj już przeszło 2000 t. zw. „Mutterberatungsstellen“, dzięki czemu śmiertelność niemowląt cofnęła się w kraju do 12—13% a w Berlinie poniżej 10%. Akcja ta objęła również ziemie polskie, przed wojną do Niemiec należące i stworzyła we wszystkich średnich miastach kuchnie mleczne i to prawie wyłącznie dzięki pracy niemieckich pań, zorganizowanych w t. zw. „Vaterländischer Frauenverein“. W byłym zaborze rosyjskim opiekę społeczną nad niemowlętami zaczęto dopiero na szerszą skalę rozciągać za czasów okupacji niemieckiej, kiedy śmiertelność niemowląt przybrała zaskakujące rozmiary. Poprzednio istniały tylko nieliczne „Krople mleka“ w Warszawie, Lublinie, Radomiu, Częstochowie i t. d. W r. 1916 powstało T-wo Opieki nad Niemowlętami, przejmując od razu uprzednio

założonych 10 Kół w różnych dzielnicach miasta, i otworzyło t. zw. „Kuchnię mleczną“, z której codziennie rozwodzi się w różnych mieszkaniach przygotowane mleko w oddzielnych buteleczkach. Środki T-wo czerpie z zapomogi Magistratu, Ministerstwa Zdrowia Publicznego, Komisji Rótowania Dzieci, ofiar jednorazowych i stałych składek członkowskich. W następnych latach musiało T-wo ograniczyć swoją działalność i powoli likwidować niektóre Koła z powodu braku środków materialnych. Dopiero w r. 1918 dzięki subsydjum Min. Zdrowia Publicznego mogło T-wo otworzyć 2 stałe t. zw. Stacje Opieki nad niemowlętami, których liczba podniosła się w następnych 2 latach do 5. W obecnym roku akcję zdwojono dzięki wydatnej pomocy Amerykańskiego Czerwonego Krzyża tak, iż każda Stacja może mieć w swojej ścisłej opiece około 20 dzieci. Podobną akcję organizuje się w całym państwie pod kierownictwem Min. Zdrowia Publicznego, lecz głównie dzięki pomocy Amerykańskiego Czerwonego Krzyża i Polsko-Amerykańskiego Komitetu Pomocy Dzieciom t. zw. P. A. K. P. D.

Skreśliłem w żarysie tylko powstanie i rozwój wielkiego ruchu społecznego, jaki powstał przed 30 laty na Zachodzie a obecnie przybiera wielkie rozmiary w naszym państwie. Dlatego wobec ogromu zadania, jaki stoi przed narodem naszym na tej niezoranej niwie społecznej, konieczna jest w tym zakresie przede wszystkim współpraca kobiet naszych, które po spełnieniu swoich obowiązków rodzinnych powinny między innymi poświęcić siły swe żmudnej i trudnej opiece nad niemowlętami, tym zarodkiem naszej przyszłości. Ileż bowiem umiera u nas niemowląt dlatego, że matka nieświadoma swych zadań macierzyńskich popełnia błędy w karmieniu i wychowaniu niemowląt, lub trudną walką o byt pochłonięta nie ma czasu ani sił, ani środków do należytego wychowania swego dziecka. W tych wypadkach tylko uświadomienie i pomoc indywidualna pod względem materialnym może zdziałać to, do czego społeczeństwo zobowiązane jest wobec swoich członków.

II. Stacje Opieki nad niemowlętami.

W praktyce opieka nad niemowlętami skupia się w t. zw. Stacjach, których działalność obejmuje trzy działy:

1) porady dla matek (Consultations des nourrissons),

2) wydawanie świadczeń: przede wszystkim mleka, mydła, pudru, bielizny, odzieży, ew. łóżeczek, wózków, wanierek lub zasiłków pieniężnych,

3) szczepienie ospy, opiekę nad dziećmi nieślubnymi i pomoc dzieciom chorym.

Jak z tego suchego wyliczenia czynności wynika, zakres działania jest ogrom-

ny i może być wykonywany tylko w miarę posiadanych środków materialnych. Najważniejszą czynnością jest niewątpliwie stała kontrola lekarska nad rozwojem dziecka, do czego dochodzi dozór pielęgniarzki nad dziećmi w mieszkaniach. „Kropla mleka“ t. j. rozdawnictwo jego bez kierunku lekarskiego i bez dozoru pielęgniarzkiego nie powinno istnieć, gdyż może zamiast pożytku szkodę przynieść dzieciom t. j. przyczynić się do rozpowszechnienia wśród matek sztucznego karmienia niemowląt, czyli może wywołać skutek wprost przeciwny kardynalnej zasadzie walki ze śmiertelnością niemowląt—walce ze sztucznym karmieniem. Szczególnie niebezpieczne może ono być w Polsce, gdzie matki zwyczajowo karmią swe dzieci piersią. Głównym celem opieki bowiem winno być podtrzymywanie zwyczaju karmienia naturalnego, danie matkom możliwości należytego opiekowania się dziećmi i nauczanie matek, jak mają swe dzieci karmić, jak je pielęgnować, ponieważ u nas umiera wiele dzieci tylko dlatego, że matki źle, nieregularnie karmią i zbyt wcześnie dokarmiają nieodpowiednimi pokarmami.

Czynność lekarza w stacji polega na dokładnym zbadaniu każdego dziecka przyniesionego, notowaniu stanu zdrowia, kontrolowaniu co 2 tygodnie jego rozwoju i udzielaniu odpowiednich porad higieniczno-lekarskich. Od tego lekarza więc, od jego umiejętnego obchodzenia się z ludźmi, od jego naukowego przygotowania, od jego znajomości warunków bytu ludności zależy wynik działalności całej stacji.

Oprócz tych ustnych porad uświadomienie matek odbywa się za pomocą drukowanych odezw i rad o karmieniu i pielęgnowaniu niemowląt, które powinny dotrzeć również do innych kobiet karmiących, a do stacji nie przychodzących. Te same rady można też szerzyć na pogadankach ew. kursach dla matek licznie zebranych nie tylko przez wykład, lecz również przez praktyczne zastosowanie tych wskazówek, pokazując je na dzieciach lub lalkach, jaką winna być odzież lub pościel dziecka, jakie winno być łóżeczko, jak trzeba dziecko kąpać, jak je myć, jak przygotowywać dla dzieci pożywienie sztuczne i t. d.

Nad wprowadzeniem wskazówek tych w życie czuwa następnie pielęgniarzka stacji, która odwiedza mieszkania przychodzących matek. Przytem bada ona materialne warunki rodziny, pomaga matce w urządzeniu mieszkania w stosunku do potrzeb dziecka, uczy ją przygotowywać potrawy dla dzieci, jak przechowywać mleko, jak dzieci ubierać, kąpać, myć i t. d. Z tych ogólnych wskazań wynika, jak wielkie zadanie może spełnić pielęgniarzka, czyli opiekunka zdrowia, o ile jest sprawie oddana i należycie do swojej roli apostołki higieny dziecięcej przygotowana. Dlatego wska-

zane jest, aby czynność tą spełniała zawodowa opiekunka zdrowia, a nie osoba, uważająca to zadanie jako dobroczynność.

W taki sposób prowadzona poradnia staje się dla matek szkołą racjonalnego wychowania i pielęgnowania dzieci i ogniskiem, szerzącym światło w lesie przesądów naszego ludu.¹⁾ Do jakiego bowiem rezultatu może dojść działalność stacji, świadczą fakty, stwierdzone w licznych miastach zagranicznych, w których stacje istnieją już od kilku lub kilkunastu lat. W tych miastach stwierdzono zmniejszenie się śmiertelności nie tylko wśród dzieci, któ-

re przychodziły do stacji, lecz również u dzieci, niedozorowanych przez stacje. Objasnia się to tym, że matki, otrzymawszy odpowiednie wskazówki przy pierwszych dzieciach, przedstawianych w stacji, i wdroywszy się do należytego karmienia i pielęgnowania niemowląt, przy następnych dzieciach już od urodzenia odpowiednio się zachowują. Drugą przyczyną tego zjawiska jest fakt, że matki zarówno z ludu, jak z inteligencji poczęści rozmawiają o dzieciach i w ten sposób szerzą na stacji otrzymane wskazówki.

Drugie zadanie, jakie spełnia stacja, t. j. wydawanie świadczeń, ma na celu pomoc matkom w karmieniu i pielęgnowaniu niemowląt, a ubocznie służy jako „środek przyciągający“ dla tych matek, które porady higieniczno-lekarskiej nie doceniają i bez

tej zachęty na stację regularnie nie przychodziłyby. Tego naturalnie niema na celu rozdawnictwo mleka, ta w ścisłym słowa znaczeniu „Kropla mleka“, która przecież tylko za wskazaniem lekarza służyć ma tym matkom, które ze względów zdrowotnych lub zarobkowych dzieci swych zupełnie lub częściowo karmić nie mogą. W tych wypadkach zaś stała kontrola lekarska jest tem więcej potrzebna.

Trzecie zadanie, wymienione poprzednio spełniać stacja powinna o tyle, o ile w danej miejscowości niema stałego punktu szczepienia, ambulatorjum dziecięcego dla dzieci chorych i instytucji opiekującej się dziećmi nieślubnymi. Stacja w tych wypadkach powinna tylko czuwać nad tem, aby potrzeby dziecka były zawsze zaspokojone.

Dr. Fr. Ksawery Cieszyński.

PROF. DR. TADEUSZ ZIELIŃSKI.

U PRAŻRÓDEŁ KOMEDJI.

(DALSZY CIĄG).

Tymczasem żona Menechmusa, dowiedziawszy się od Ścierki o przeniewierstwie swego małżonka wraz z delatorem czeka na niego. Nakoniec Menechmus przychodzi, wciąż jeszcze przygadując z powodu dokuczliwej sprawy, która zatrzymała go na rynku. Nagle, jak grad, spadają nań nieoczekiwane zarzuty; żona gromi go za wykradzenie płaszcza, pasorzyt za obiad, spożyty, jakoby bez niego (1 nieporozumienie). Żonie odpowiada wykrętami, pasorzytowi zaś — szczerością obrażonej cnoty; w rezultacie małżonka zamyka przed nim drzwi, zapowiadając, że nie opuści go póty, póki nie zwróci jej płaszcza. Pasorzyt spodziewa się z jej strony wdzięczności; atoli gospodyni żegna go uszczypliwą obietnicą, że nie omieszka odplacić mu wzajemnością w chwili, gdy i jemu sprzęt jakiś wykradną; Ścierka tedy odchodzi ostatecznie, złorzeczając zarówno mężowi, jak żonie. Menechmus dodaje sobie odwagi: cóż że nie wpuszczono go do własnego jego domu? Alboż to nie ma on innego gniazdko, o wiele miłszego. Idzie do Erecji; lecz ta swój, zrazu łaskawy, ton odmień raptem, gdy posłyszła prośbę Menechmusa. Wszak ona mu już doręczyła płaszcz, a wraz z płaszczem i spinę do naprawy (2 nieporozumienie)! „Chcesz odbierać swe podarunki, owszem! Tylko nadal nie pokazuj mi się na oczy!“ Menechmus żałośnie patrzy na wtóre drzwi, które zatrzaśnięto mu przed nosem; teraz czuje się on zewsząd wgnany. Idzie szukać rady u przyjaciół, co począć w tej niedoli.

Ale i Sosiklesowi nie tego się powodziło: nie może on odnaleźć Messeniona z pieniędzmi; machinalnie więc, z płaszczem w ręku, wraca na miejsce poprzednie. Żona Menechmusa wygląda z poza drzwi domu: chwała bogom, strój się znalazł; mimo to uważa ona za swój obowiązek przywitać swego rzekomego męża (5 pomieszczenie) surowym morałem; ów szorstko jej odpowiada; wobec wzburzenia stron obojga sprawa przybiera obrót tak dalece niemiły,

że niepoznana bratowa posyła po ojca. Przychodzi starzec; zna on o tyle swą miłą córeczkę, że z góry gotów jej całą winę przypisać, opowiadanie atoli o płaszczu powoduje zmianę jego przekonania, i do rzekomego zięcia (6 pomieszczenie) zwraca się z ojcowskimi wymówkami. Sosikles przysięga, że nie zna ani jego, ani jego córki; jego słowa oraz jego wygląd wzbudzony budzą w obojgu myśl, że postradał on zmysły. Sosikles czepia się tej myśli i aby uwolnić się od obojga, udaje rzeczywiście obłąkanego; jakoż bratowa, wystraszona, ucieka do domu, starzec zaś idzie po lekarza; Sosikles umyka, póki cały.

Menechmusowi tymczasem, przyjaciele żadnej roztropnej rady dać nie potrafili; pełen rozterki, wraca tedy, gromiąc w duchu i niewiernego pasorzyta i niewierną przyjaciółkę; przed domem spotykają go teść i lekarz. Przypominają mu o scenie obłąkania, którą jakoby odegrał (3 nieporozumienie), gniewne jego odpowiedzi biorą za potwierdzenie choroby, i starzec woła czterech tegich niewolników, aby go związali. W tej chwili nadszedł Messenjon, poszukujący swego pana; słysząc krzyki Menechmusa, biegnie mu na ratunek (7 pomieszczenie), uwalnia go i, korzystając z wdzięcznego nastroju oswobodzonego, wyprasza sobie w nagrodę wyzwolenie. Menechmus, którego nic nie kosztuje wyzwolenie cudzego niewolnika, chętnie życzenia jego spełnia. Messenjo, ucieszony zapewnia go co do swej wierności i nadal i odchodzi, aby mu przynieść pieniądze. „Przynieś koniecznie“, nagli go Menechmus, hołdujący, jak widać, równie luźnym poglądom na cudze mienie, jak i brat jego. Poczem po raz wtóry puka on do Erecji, aby przejednać kapryśną kochankę; Messenjo zaś, ku swemu zdumieniu, spotyka prawdziwe swego pana Sosiklesa, który go przez cały czas szukał. Sosikles, oczywista, ani słyszeć nie chce o tem, że wyzwolił swego niewolnika (4 nieporozumienie); na szczę-

ście w chwili, gdy poczynają się spierać między sobą, z domu Erecji dolatują również odgłosy podobnego sporu, i na progu ukazuje się, po nowem niepowodzeniu Menechmusa. Tutaj po raz pierwszy obaj bracia spotykają się ze sobą; jeszcze jedna ostatnia pomyłka Messenjona (8 pomieszczenie) — i oto, prawda przy jego czynnym udziale odnosi tryumf; Messenjo ostatecznie otrzymuje wolność; Menechmus postanawia wrócić z bratem do Syrakuz, sprzedawszy cały swój majątek w Epidamnie; sprzedaż w drodze licytacji ma się zająć Messenjo, który też zamyka sztukę komicką ogłoszeniem licytacji na sprzęty, na grunt, na budynki, na sługi, i na bydło — wszystko za gotówkę, włączając też do majątku i żonę, „jeśli jaki kupiec na nią się znajdzie“.

IV

Tę komedję nowoattycką, która wśród innych wzorów Plauta dała mu też wzór do jego „Menechmów“, nazywa się zazwyczaj komedją obyczajową; nazwa ta jest słuszną, ale tylko po części. Gdyby była ona słuszną w zupełności, czytelnik „Menechmów“ pozyskałby wyobrażenie nader dziwne o greckich obyczajach IV — III wieków przed N. Ch.

Menechmus epidamski oraz jego „żona z posagiem“ żyją ze sobą, jak pies z kotem, mniejsza o to, zdarza się nieraz. Mąż utrzymuje kochankę na boku, heterę, której pieczyoty sprzedajne przekłada ponad radości życia rodzinnego — i to się zdarza. Atoli nie dość na tem: wykrada on żonie, jej stroje i klejnoty, aby opłacać niemi wdzięki miłośnicy; jest przy tem tchórzem podszyty, robi to pokryjomu, wdziwka na siebie zarzutkę żony pod swój płaszcz, aby ukryć swe złodziejstwo, i chełpi się tym podstępem i wobec hetery, i wobec pasorzyty — czyż podobne bezceństwa dadzą się pogodzić z poczuciem jako tako szanującej się jednostki? Nie, zapewne; lecz za to są one śmieszne.

Menechmus — brat jego — w niczem mu nie ustępuje: jest on równym amatorem uciech miłości sprzedanej jak tamten, i zgoła nie przewyższa go szlachetnością charakteru: nie namyślając się wcale, zjada on obiad, nie dla niego przygotowany, i skoro nadarza się sposobność, najspokojniej odbiera heterze strój, wręczony mu wskutek oczywistego nieporozumienia, a jednocześnie z nim i klejnot, zarówno ograbiając panią, jak — co jeszcze bezwstydniej — jej pokojówkę. Czyż tak postępowali obywatele syrakuzkańscy? Nie, zapewne; jest to bardzo nieprawdopodobne, lecz zato bardzo śmieszne. Ale przepraszam: wszak jest to ten sam Menechmus — Syrakuzkańczyk, który sześć lat przewędrował w poszukiwaniu straconego brata, który na poszukiwania te stracił pokaźną część majątku i — mimo to — gotów podróżować w dalszym ciągu, w dalszym ciągu rujnować się, byle go odnaleźć! Zali szlachetność taka daje się pogodzić z taką lichotą charakteru? Nie, zapewne; jest to oczywista niekonsekwencja, ale za to, powtarzamy raz jeszcze, wszystko to jest śmieszne, śmieszne, śmieszne.

Trzeba zauważyć, że owa komedia, którą nazywamy komedią nowoattycką, a która przez Plauta i Terencjusza stała się protoplastyką i naszej także komedji obyczajowej, przedstawia u siebie nie tylko w przedstawicielach poszczególnych, ale i w swej całości, zjawisko dość złożone. Z jednej strony była ona dalszym ciągiem i uwieńczeniem komedji średnioattyckiej i przez nią sięga czasów scenki baraszkującej, zabawkowej, jednej z najpierwotniejszych wogóle komórek komedji. Z drugiej atoli strony, przez naczelnich swych przedstawicieli, zwłaszcza zaś przez Menandra, czerpała obfitą garścią ze skarbnicy sztuki poważnej, z tragedji Eurypidesa i na wzorach tych nauczyła się budować powikłaną a zarazem prawdopodobną fabułę: wchłonięła ona wpływy szkół filozoficznych, pochodzących od Sokratesa, i dzięki nim nauczyła się przedstawiać w sposób konsekwentniejszy i przekonywający charaktery ludzkie, podpatrywać subtelności nastrojów, tworzyć i rozstrzygać konflikty namietności z rozsądkiem — słowem, dzięki mistrzom tym stała się ona właśnie tem, za co uchodzi: poważną komedią obyczajową.

Dwa te kierunki — baraszkujący i poważny — połączyły się w niej w sposób niekiedy nierozzerwalny; my wszelako postąpimy słusznie, rozróżniając je oba i nie stawiając pierwszemu żądań takich, którym uczynić zadość podjął się tylko drugi. Pierwiastek baraszkowania spotyka się, jak dowodzą ostatnie wyniki badań, nawet w komedjach najtęższego z pośród dramaturgów komedji nowoattyckiej, nawet u Menandra; tem ci mniej dziwić on nas powinien w utworach gwiazd drugiej wielkości, do których należał, — ze wszystkiego to widać, — również autor oryginału „Bliźniąt“.

Tak, zaliczmy komedię naszą do tego pierwszego kierunku, czcigodnego z uwagi raczej na swą starożytność, niż na swe za-

danie; poprosimy czytelnika, aby pobłażliwie pod względem etycznym patrzył i na zdrożności obu bohaterów, i na charakter pasorzyty, powodowanego wyłącznie interesami swego żołądka, i na postać wyrozumiałego teścia, wiecznie utyskującego na swą niemoc starczą, i na heterę, i na lekarza, i na kucharza i wogóle na wszystkich. W teorii łatwo to ustalić; lecz w jakiż sposób urzeczywistnić tę zasadę ustaloną w praktyce. Prawdę powiedziawszy, jesteśmy niezbyt poważni — i aby całą już wypowiedzieć prawdę, zbyt zszarpani, zbyt srodzy, zbyt okrutni. Skoro ma być komedja, to chcemy widzieć na scenie satyrę, chłostę, smaganie przywar ludzkich; lubujemy się w śmiechu, ale w śmiechu złym, karzącym i mściwym. A tu chodzi o coś zupełnie innego. Chodzi o stosunek do komedji nie taki, jak do zwierciadła życia, lecz poprostu jak do zjawy zmysłowej, urojonej, nieprawdopodobnej, ale — śmiesznej.

Czy doprawdy śmiesznej? A jeśli całe to baraszkowanie rozdrażni nas tylko, zamiast ubawić? Jeśli figle Menechmów, błazeństwa pasorzyty, bufonada lekarza wydadzą mi się tylko płaskie, nie zaś wesole? Wtenczas, czytelniku, tem ci gorzej dla ciebie. Łaskawe niebo, pachnące gaje, szumiące morze Hellady powołało do życia nie tylko bogów Fidjasza i bohaterów Sofoklesa, lecz, w chwilach wywczasu także baraszkowanie starej tudzież nowej komedji — i jako warunek ich powstania zdolność widzów do śmiechu dobrodusznego, płochego i zdrowego. Tej zdolności ofiarować ci nie możemy, skoro jej nie posiadasz; możemy wszakże prosić cię o to, abyś, czytając Plauta i innych pojął przyczynę niewspółczesności ich z tem, do czego przywykłeś. I jeśli na ich żarty nie odpowiesz śmiechem, nie próbuj im złorzeczyć, lecz raczej sam ubolewaj nad sobą.

V

Dotychczas, zresztą, mówiliśmy nietylko o Plaucie, ile o greckim jego komedji pierwowzorze; czas rzec parę słów i o tem, co uczynił on z tego wzoru.

Plaut, współczesnik drugiej połowy wieku trzeciego, jak można wnosić, niewiele zaledwie dziesięcioleciami oddzielony był od czasu powstania oryginału „Bliźniąt“; niemniej przecież, warunki jego działalności dramatycznej były zupełnie odmienne. Poeci komedji nowoattyckiej odtwarzali stan środowiska ateńskiego; republice rzymskiej Plauta, Grecy wogóle, ateńczycy zaś w szczególności, poniekąd znani byli dzięki swym mniej lub więcej licznym przedstawicielom, zamieszkałym w Rzymie, na jej atoli znajomości bytu społecznego, zwłaszcza zaś bytu państwowego Greków, trudno było polegać. Następnie: widzami Menandra i innych byli ateńczycy, lud w starożytności najsubtelniejszy pod względem umysłowym, na domiar wyćwiczony przez szereg pokoleń tylomaż pokoleniami filozofów-sokratesowców, słuchający w chwilach wolnych od zajęć popularnych wykładów zwolenników Plauta w Akademji i uczni Arystotelesa w Liceum, nie mówiąc już o innych.

A cóż powiedzieć o widzach Plauta? Wszak skoro sądzić o nich będziemy z opinii Cicerona i Horacego, to i ta opinja dla nich będzie jeszcze zbyt pochlebna, gdyż dotyczy już końca wieku pierwszego przed N. Ch., tamci byli ludźmi końca wieku trzeciego, prawie zupełnie jeszcze nietkniętymi przez cywilizację grecką. Obie te różnice każdemu, kto ważył się ów wykwinny kwiat kultury greckiej przenosić na rolę rzymską, stanowiły wymagania swoiste, którym uczynić zadość było wcale nie łatwo; to też ci, którzy oryginalność komedjopisarzy rzymskich kwestjonują, polegając na tem, że zapożyczali oni treść swych komedji u greków, bardzo powierzchownie sądzą o rzeczy. Zapożyczać się nie było trudno, ale łatwo też było paść wraz ze swemi pożyczkami; ale zapożyczać się tak, aby zyskać powodzenie, podbić serca, stać się dla ludu swego poetą narodowym — zadaniu temu nie sprostą pierwszy lepszy.

Jednakowoż Plaut łatwiej, być może, mógł podołać temu zadaniu, niż wielu innych: sam on był synem ludu, i aby dowiedzieć się, co było ludowi rzymskiemu dostępne i miłe, wystarczało mu własny wydać smak. Żywo wystawiamy go sobie, jak ręczniami otoczony młynami swego gospodarza, w przerwach między pracą wertował książki greckie — komedje Menandra i jego zwolenników. Wertuje, widzi — sama deklamacja, jedynie w antraktach „chór“ swoisty śpiewa luźne pieśni, których wybór pozostawia się reżyserowi. Nie, to — na nic, zwłaszcza, że scena rzymska wogóle chóru nie zna. Niepodobna pogodzić się z tak zupełnym brakiem pierwiastku muzycznego — to się uprzykszy, publiczność pocznie ziewać. I oto Plaut przerabia sztukę do swemu. Weźmy naprzykład drugą scenę pierwszego aktu, gdzie Menechmus I rozprawia się z żoną. Co prawda oryginał grecki zaginął, wszelako i tak wiemy z pewnością, że w oryginale rozprawiał się on z żoną takim samym wierszem, jak wiersze poprzednie i następne. Otóż tutaj właśnie można wtrącić rozrywkę muzyczną: długą mowę Menechmusa tłumacz przerabia z deklamowanej w śpiewaną, w „kantyk“, mówiąc językiem współczesnym — w arję. W tym celu musiał ktoś skomponować muzykę — cóż, o kompozytora nie trudno. Rękopismy, niestety, nie zachowały nam jego kompozycji, i tylko z różnojakości rytmów domyślamy się, że w tem miejscu był „kantyk“ u Plauta, była arja. To samo w trzeciej scenie aktu drugiego, gdzie Erocja czeka na swego wielbiciela: to samo w drugiej scenie aktu czwartego, gdzie Menechmus epidamczyk opowiada o swych kłopotach na forum, w drugiej scenie aktu piątego, gdzie starzec, teść jego, utyskuje na dolegliwości swego wieku; w scenie piątej tegoż aktu, gdzie niewolnik Messenjo sam sobie kazanie wygłasza o swej służbie niewolniczej. We wszystkich tych epizodach tłumacz rzymski deklamację pierwowzoru zastąpił śpiewem i tem komedię przerobił, mówiąc językiem dzisiejszym, na wodewil.

(D. c. n.).

ESTERKA.

*Wszystkie prawa autorskie
zastrzega się.*

Dawno miało się już pod wieczór, kiedy przed zawałoną sypkim śniegiem gospodę żydowską w Opocznie podjechało kilkoro rozłożystych sań z myśliwymi. Czy że to jednak cień nocy zbyt szybko osadzał się nad ziemią, czy że przybywającym chodziło o zachowanie pozorów przeciętnej szlachty, dość że zrazu i nie rozeznaleś, kto zacz są i skąd przybywają. Dopiero kiedy się wysypali do izby karczmejnej, wyprostowali kości a wzrokiem po stołach powiedli, łacnoś mógł już odgadnąć, że to dostojników niebylejakich oglądasz.

Jakoż w mig poznał się na rzeczy starzy żyd, Mordochaj, arendarz ładnego gruntu i właściciel karczmy w Opocznie. Skwapliwie jął też naokoło gości swoich skakać, do stołu najlepszego uniżenie zapraszać, a zydle usłudze podsuwać.

— Wino masz? a przednie? — zwrócił się do żyda jeden z myśliwych, snadź rolę podczaszego śród dostojnej kompanji sprawując.

— Zaraz będzie, jaśnie panie, małmazja, jak złoto — uśmiechnął się zachęcająco karczmarz, jakby dawał do zrozumienia, że wie kogo podejmować w swej gospodzie ma zaszczyt i nie obcą mu jest znajomość w rozdawaniu odpowiednich tytułów.

Tymczasem goście rozsiedli się na dębowych ławach i zydlach, a rozpiąwszy cenne futra, po izbie się rozglądali.

Niewiele było tu jeszcze ludzi, więc łatwiej mogłeś poszczególne gromadki biesiadników odróżniać, a każdą z nich już to po stroju i fantazji, już to po spijanych trunkach oceniać. Jakoż widziałeś ludzi wszelkich kondycji. Tam szlachta w ciemnoliwkowych żupanach, podbitych królikami lub futrem sobolim, po dworsku winem węgierskim się raczyła, zrazowcem a serem przegryzając; tu znów zamożniejsi mieszczanie o sprawach dnia ubiegłego przy czarkach miodem wypełnionych po sąsiedzku gwarzyli; tam kmieci kilku siermiężnych zalewało się śmierzącą gorzałą; a ot, i kupcy jacyś o spojrzeniu przebiegłym a strojach dostatnich, z cudzoziemską pogadując, rozsiedli się tuż pobok szynkwasu, by na wchodzących baczenie dawać, a tego i drugiego do stołu ma poczęstunek przywabić.

Na wszystkich zaś twarzach widać było pogodę i zadowolenie, ile że dobre rozpoczęły się wywczasy dla wszech stanów w Polsce ówczesnej kwitnących. Szlachcie przez pakty z krzyżakiem, pokój mając zapewniony, miecz odpasał, a zaśnieźdzonego pługa jął się skwapliwie, rękodzielnik pod osłoną cechów w rzemiośle wszelakim grosza pewnego się dorabiał, a i kmieć prawie na wolnej stopie ostawiony, pełniejszą piersią odetchnął i pana sobie w chwili grożącego nieprzebieczeństwa wedle upodobania mógł dobierać. Nawet kupiecki stan czasy one sobie chwalił, choć srogą walkę z nieuczciwością faworyzowanego handlu żydowskiego wieść musiał.

Tym ostatnim jednak snadź było w Polsce najlepiej, bo do niej zewsząd chętnie ciągnęli, pod opiekę nadanych sobie praw i przywilejów się garnąc; a choć niejeden na ich obecność srodze nastawał i co dokuczliwszym nawet groził, nic sobie z tego nie robili, wiedząc, że prawo królewskie za nic tak srodze nie karze, jak za napaść na wyznawcę Starego Zakonu. Jakoż i w Opocznie dobrze się czuli, choć ich tu, krom przejezdnych kupców niewiele jeszcze było. Nie widziałeś też ich dzisiaj i w karczmie. Jeden tylko Mordochaj, oko na wszystko trzeźwe mając, a ucho wielce wrażliwe, to za szynkwasem do dzbanów emaljowanych napoje z baryłek toczył, a w miarę potrzeby wodą je rozcieńczał, to znów pomiędzy stołami się uwijał a grosz nowy, szlachetnie brzęczący do kalety zbierał.

W karczmie poczynano być coraz rojniej i gwarniej, bo jedni już nieźle sobie podpiłi, a inni, przybywający dopiero, znajomków i kamratów w tym stanie witając, dworowali z nich galancie, a do stołów ochoczo się przysiadali. Prześmiewchy też szły po izbie i rozgłosy coraz żywsze, że to gładyski usługujące, słowem lekkim zaczepiane, wybuchały srebrnym dźwiękiem zdrowej krtani, a ślepiami siarczyście w podchoconych kompanów strzelając, do wypróżniania dzbanów rozchyleniem ust wiśniowych ich przynaglały.

Wnet też i kompanja myśliwych do rozgrzewania żołądków swych się wzięła. Zadzwoniły tępym skrzybotem czarki i płyn złoty popłynął do przeziębłych gardzieli.

— Cienkusz! — skrzywił się jeden z dostojnych gości, wzrostu więcej niż słusznego a tuszy okazałej. — Każ wasze podać mu coś przedniejszego — zwrócił się do jednego z kompanów.

Ale żyd jakby na to czekał, wnet przyskoczył do stołu, skłonił się w pas przed dostojnikiem i, uśmiechając się znacząco, przekładał:

— Niech wasza wysokość wybaczy... To najlepsze wino, jakie mam w mojej piwnicy dla tej szlachty, która tu stale bywa... Ale i Mordochaja raz w życiu wielkie szczęście spotkać może i na ten to zaszczyt podejmowania w piwnicy mojej oddawna już czekało stare wino... królewskie... Złota małmazja... Moja córka wnet usłuży...

Karczmarz usunął się dyskretnie, obserwując z za szynkwasu jakie wrażenie wywarł swoją znaczącą oracją.

— Dwornie gada, bestja! — zauważył podczaszy.

— Ciekaw jestem tej królewskiej małmazji — uśmiechnął się dostojny gość.

— Już to nie będzie taka jak w piwnicy waszej królewskiej mości — dosyć głośno zawyrokował urodziwy Maciek Bronowicz, możnowładca wielkopolski, który chwilowo na dwór Kazimierza onego czasu zaproszon, wybrał się był z nim na wypra-

wę łowiecką w okolice Bochohnicy, gdzie właśnie niedawno zamek bochohnicki, wraz z przyległościami przez króla mu darowany, w posiadanie był objął.

— Ciszej gadaj waszmość, jako że nie rad byłbym dać się tu poznać, a kompanje rozbawione obecnością swoją żenować.

— Zbędna to ostrożność — odrzekł godnie pan Maciek — bo żydowinów, pismo nosem zwąchawszy, nie poniecha gwoli splendoru domowi swemu przyczynionego faktum owe szeroko a głośno roztrąbić.

— Niech po mojem odjeździe... A narazie spróbujmy onej małmazji — odparł król pojednawczo.

— ...którą nam dla większej ostentacyi usłuży dziewoja żydowska — uśmiechnął się ironicznie Imci pan Maciek.

— Byle godnie! — pogładził król długą brodę, kryjącą lekki uśmieszek. — Już to widzę, że waszmość pan zawziętość jakowąś masz na białogłowy?

— Godzi się wiedzieć gwoli ścisłości, że musi to być czarnogłowa, a takich, o ile groszem cebulą woniejącym się legitymują, faworyzować nie zwykły jestem.

— Nie wiesz to waszmość, że grosz wszelki z królewskiej wychodzi mennicy?

— Atoli wiem i o tem, że nim światło dzienne ujrzy, przyjmuje na się pieczęć starozakonnych palców Lewkowych.

Kazimierz brwie ściągnął. Pod wąsikami na ustach silnie wyciętych skurcz zadrgał ukryty, świadcząc o rodzącym się gniewie, którego przyczyną były słowa dotkliwie imci pana wojewody. Zrozumiał król w lot, co zacz kompan jego miał na myśli, a że myśl oną w zjadliwym przymówieniu wypłynął, tem silniej uczuł się dotknięty.

— Jakoż lepiej mu choćby i z takim odciskiem światło one dzienne ujrzeć, niżby się miał w nadto gorących dłoniach katolickiego mennika przez narodziem jeszcze roztopić — hamując gniew, odparował cięcie Kazimierz.

— Juścić wie wasza królewska mość jako poddanych swych najgodniej zaufaniem a łaskami dla dobra Ojczyzny ma obdzielać — skłonił się z przesadną godnością możnowładca wielkopolski, a rzuciwszy wzrokiem na drzwi wiodące do izb Mordochajowych, drgnął niedwuznacznie, jako że w nich rozkosznie piękną jego córkę ujrział.

Król, mając zwyczaj powściągnięcia się w niewczesnych wybuchach gniewu, i tym razem spolitykował a, przybrawszy wesołą minę, zwrócił się do swych współbiesiadników zachęcająco:

— Otóż i małmazja! A w takim serwisie może i królewskiej nie ustąpi.

Jakoż piękna żydówka, ustawiwszy na stole ciężką srebrną podstawę z pozlaczanymi pułkami, jeła w milczeniu wypełniać je złotym, gęstym płynem.

(d. c. n.).

Mieczysław Jarosławski.

Z SALI ODCZYTÓW.

Sprawozdanie p. Jana Lipkowskiego z podróży do Kijowa i Charkowa.

Dn. 19/III 22 r. w sali Ratusza odbyło się doroczne ogólne zebranie Związku Pracującej Inteligencji Polskiej z Rusi.

Zebranie rozpoczęło się sprawozdaniem Prezesa Związku P. Jana Lipkowskiego z podróży do Kijowa i Charkowa, odbytej w celu zbadania na miejscu warunków życia pozostałych tam Polaków. Licznie zgromadzeni słuchacze z zapartym oddechem wysłuchali plastycznego i głęboko odczutego opowiadania p. Lipkowskiego, w którym p. L. nakreślił rozpaczliwy obraz potwornej wprost pod każdym względem niedoli naszych braci. Zewnętrzne warunki życia okropne: tysiące giną od głodu, mrozu, nędzy i chorób, wszelkie zaś wysiłki stworzenia ośrodków życia kulturalnego polskiego są gnębione i prześladowane gorzej jak za najbardziej reakcyjnych rządów caratu.

Kościół. Zdawałoby się, że po Traktacie Ryskim będzie kościołowi przyznana przynajmniej własność Domów Bożych, tymczasem obecnie z całym rygorem szczególnie na prowincji ma miejsce odbieranie Domów Bożych i inwentarzy kościelnych na rzecz „Obszczyń” na zasadzie wydzierżawienia od Państwa.

Niemą probostwa, gdzieby nie było zarekwirowanych mieszkań — najczęściej ksiądz jest wprost usunięty z probostwa, a plebanje zajęte na szkoły, ale nie polskie, nie katolickie — albo na „Sielański Budynok” (rodzaj hotelu), „Ispółkom” (urząd Wojskowy), albo przez „Osobyj Otdiel” czerezwyczajki, słowem przez urzędy, nie mające nic wspólnego z nastrojem i sąsiedztwem „Domu Bożego”. Mienie kościelne jest przeważnie zrabowane, budynki zniszczone. W ostatnich czasach „Ispółkomy” zabraniają duchowieństwu polskiemu chrzczyć, chować umarłych i dawać śluby bez pozwolenia władz cywilnych i żądają pod groźbą represji, aby podobne zobowiązania księży podpisywali. Duchowieństwo nie ma właściwie gdzie mieszkać i na czem oprzeć swej egzystencji i naprawdę podziwiać należy, że większość księży trzyma się jeszcze na placówkach w imię obowiązków pasterskich, pomimo że warunki życia stają się wprost niemożliwe.

Szkolnictwo. Szkół, Ochronek i Żłobków polskich jest w Kijowie 67. Ogólna ilość dzieci i młodzieży przekracza 2.000. Ilość sił nauczycielskich i wychowawczych w styczniu wynosiła 98 osób. Oplakany stan materialny nauczycielstwa ujemnie wpływa na życie szkolne, pensje wciąż zalegają i są absolutnie niewystarczające na zaspokojenie potrzeb codziennego życia — zmusza więc to nauczycieli do pracy po za szkolnej, lub nawet zupełnego usunięcia się ze szkoły. Internaty są w coraz gorszym położeniu, stan aprowizacyjny oplakany i literalnie zagraża głód, racje żywnościowe są stale zmniejszane i w najlepszym razie obiecują wydawać 1/4 f. dziennie na osobę.

Ogromnie dotkliwy brak opału, ubrania, bielizny i obuwia. Pod względem wychowawczym, warunki w internatach i szkołach są niemożliwe. Od czasu zagarnięcia dyktatorskiej władzy w szkolnictwie polskim przez komunistyczne „Polbiura” i „Narobrazzy” — wychowawcami i opiekunami w ochronach i internatach polskich są mianowani komuniści, żydówki i żydzi. Uczucia narodowe i religijne dzieci są poniewierane (obrazy religijne wyrzucane i niszczone) — dla uczynienia zaś ich podatniejszymi wszczępianym przez się komunistycznym doktrynom, starają się zjednać sobie dzieci za pomocą tańców i zabaw. Ostatnio jest dążność do grupowania starszej młodzieży szkolnej w koedukacyjnych zakładach ze wspólnymi dortuarami bez względu na płeć.

Więźniowie. Przeszło 100 Polaków znajduje się jeszcze w więzieniach w „Osobom Otdiele” i w obozie koncentracyjnym. Stan więźniów jest oplakany. W czasie największych mrozów, dochodzących do 27 stopni, mieszkają w izbach o cementowej podłodze, o ścianach przesiąkniętych wilgocią, w strzępach odzieży, bez przykrycia, żywieni wprost skandalicznie: pierwotnie około 1/2 f. chleba dziennie, obecnie zaledwie 1/4 f., raz na dzień dostają gorącą supę tj. wodę zabarwioną jakimś czerwonym kolorem, w której gdzieś niegdzie pływa ziarno soczewicy, a wszystko o tak wstrętnym zapachu, iż pomimo głodu nikt jej jeść nie może. Większa część więźniów chorowała na tyfus i jeśli dotąd wszyscy nie wymarli z głodu,

to tylko dzięki bezgranicznej ofiarności społeczeństwa polskiego, które same ginąc z głodu, jednakże przysysłało im od czasu do czasu chleb i słoninę.

Repatriacja i opcja. Największą bolączką Polaków z Rusi zamieszkałych już w Polsce jest niemożność wobec przeszkód ze strony bolszewików sprowadzenia swych rodzin tam zamieszkałych, a będących przeważnie w ostatecznej nędzy. Poza to istnieje olbrzymia kategoria ludzi nie objętych układem repatriacji, a którym przysługuje „prawo opcji”.

Traktat Ryski dzieli optantów na 2 kategorie: 1) byli obywatele imperjum rosyjskiego, którzy są zapisani do ksiąg stałej ludności byłego królestwa Polskiego 2) będą uważane za obywateli polskich osoby, które udowodnią, że pochodzą od uczestników walk za niepodległość Polski w okresie 30 i 63 roku, oraz udowodnią używanie języka polskiego jako mowy potocznej. Ludziom nie znającym stosunków panujących w Rosji zdawać by się mogło, że przeprowadzenie procedury opcyjnej na podstawie tych punktów nie przedstawia żadnej trudności.

Inaczej się dzieje w praktyce. Wyzbycie się tego materiału ludzkiego nie leży bynajmniej w interesie rządu sowieckiego, który mobilizował naszych fachowców, inżynierów, robotników, doktorów i rolników i za marny kawałek chleba zmusza ich ciężko pracować. To też od samego rozpoczęcia opcji rząd sowiecki zaczął stwarzać wszelkie możliwe trudności przy przeprowadzaniu procedury opcyjnej.

Jeśli sobie uprzytomnimy, że większość naszych rodaków, przy ciągłych zmianach rządu na Ukrainie, rewizjach i aresztach — została pozbawiona wszelkich dokumentów, dających niezbitą dowody polskości i że paszporty wydane przez nasze konsulaty w r. 1915 — 1919 nie są uznawane jako dokumenty dające prawo obywatelstwa polskiego, to łatwo będzie zrozumieć, jak piękne pole do szyskan mają władze bolszewickie w stosunku do optantów. Dość powiedzieć, że stwierdzenie faktu, czy dany osobnik zachował kulturę polską i przywiązanie do narodowości polskiej należy do t. zw. „narodnowo sudżi” (sędzia narodowy), którym jest najczęściej żyd w bardzo młodym wieku. Wywołuje to zrozumiałe oburzenie wśród rodaków, a żądane przedstawienie 2-ech fotografii, wytwarza popłoch i obawę nowych aresztowań i prześladowań.

Należy podnieść, że termin opcji upływa w końcu kwietnia i można się obawiać, że kilkaset tysięcy rodaków pozostanie po za nawiasem i nie będą mogli korzystać z przysługującego im „prawa opcji”.

Rzecz oczywista, że wobec takiego stosunku władz bolszewickich do Polaków i instytucji polskich, oraz przerażających materialnych warunków egzystencji, potrzebną jest energiczna pomoc rządu i przedstawicielstwa naszego we wszelkich ośrodkach i placówkach polskich na Rusi, a tembardziej większych centrach. Tymczasem w Charkowie, miejscu rezydencji naszego poselstwa wobec stałej nieobecności posła, (który dla ważnych spraw bawi w Warszawie) ludność polska jest zupełnie pozbawiona opieki i pomimo wielkiej odporności i głębokiego patriotyzmu, czując się opuszczoną i bezradną, wpada w rozpacz i traci już siły do walki.

Pan Lipkowski zakończył sprawozdanie postawieniem szeregu wniosków, przyjętych jednogłośnie przez zgromadzenie, a dotyczących się w pierwszym rzędzie: sprowadzenia do Polski 2.000 młodzieży szkolnej i dzieci, przedłużenia terminu opcji, ułatwienia Polakom tu zamieszkałym sprowadzenia rodzin pozostałych w Rosji, sposób ulżenia niedoli tych, którzy zmuszeni są tam pozostać, oraz sposobów walki o nasze kulturalne i narodowe prawa na Rusi.

Zebranie poleciło Prezydium Związku z p. Janem Lipkowskim, jako prezesem Związku i prezesem Zrzeszonych Instytucji kresowych na czele, wybrać delegację dla przedstawienia rządowi przyjętych przez ogólne zgromadzenie wniosków, oraz prośby o uregulowanie jak najprędzej kwestji naszych konsularnych placówek na Rusi, a to przez wybór ludzi odpowiednich t. j. ludzi znających miejscowe warunki, cieszących się zaufaniem miejscowego ogółu i świadomych wielkości przyjętych na siebie obowiązków tak pod względem ludzkim — ratowania rodaków od nędzy i śmierci, jak i narodowym — obrony zagrożonych naszych kulturalnych placówek, a szczególnie dzieci i młodzieży, stanowiących podwaliny naszego bytu narodowego.

Zebranie przez usta przewodniczącego Pana Stanisława Pfaffinsa, wyraziło p. Lipkowskiemu głębokie

uznanie i gorącą wdzięczność za trudy podjęte w celu ulżenia niedoli naszych nieszczęśliwych braci, za zbadanie i ujawnienie warunków ich życia, co da możliwość tak rządowi jak społeczeństwu do podjęcia energicznej na szerszą skalę akcji ratowniczej, tak niezbędnej w danej chwili.

Odczyt dr. J. Joteykówny „O człowieku przyszłości i o potęgowaniu uzdolnień”.

Ostatni z cyklu odczytów eugenicznych, mających za zadanie poprawę rasy przez szerzenie zasad zdrowego rodzicielstwa bez obarczeń dziedzicznej patologii dał wysoce pouczający materiał rzeczowy w wykładzie znakomitej naszej uczonej pr. dr. J. Joteykówny na temat: „O człowieku przyszłości i o potęgowaniu uzdolnień”.

Z naukowych danych najnowszych kierunków psychologii indywidualnej, której przedmiotem badań laboratoryjnych są stany psychiczne jednostki: jej rodzaj indywidualnych uzdolnień, skłonności itp. władz duszy, płyną wnioski wysoce znamienne dla rozwoju człowieka przyszłości. Skierowywanie uzdolnień, przez rozwój ich załączników, we właściwą stronę, oraz potęgowanie ich przy umiejętnych metodach wychowawczych, przyczyni się do ukształtowania człowieka pełnego we władzach rozwojowych. Następnym tego będzie właściwy dobór zawodu, przez co uniknie się braku ludzi na odpowiednich sobie stanowiskach, co stanowi klęskę naszych czasów. Dobro powszechne zatem łączy tu się ściśle i z dobrem osobistym „człowieka przyszłości” w jego prawach do szczęścia. Narody dbały o swą przyszłość, wychować winny swe podpory jutra w myśl praktycznych wskazań psychologii indywidualnej, przy zastosowaniu jej badań w latach nauki dziecka obok lekarzy szkolnych obowiązkowo. Ruch na tym polu jest już obecnie duży: We Francji prace d-ra Binet’a, w Niemczech Sterna i Lippmana, również w Anglii, a nawet w Japonii idzie to już szeroko. Funkcjonuje już nawet z powodzeniem *poradnia dla doboru zawodowego*, co chroni od marnowania życia jednostek, do niewłaściwych zajęć biorących się po omacku, przysporzy zaś społeczeństwu dzielnych, bo uzdolnionych odpowiednio pracowników.

Wskazania te dla rodzin są wysokiego znaczenia. Dotychczas jeszcze najpowszechniej wychowuje się dziecko, bez uwagi na rodzaj jego uzdolnień, do jakiegoś zgóry przez rodziców obmyślonego dla niego zawodu. Często łamie się nawet uwidoczniające się skłonności dzieci w kierunku niepożądanym praktycznie przez wychowawców, którzy zapatrzeni w ideał *karjery życiowej* do jej widoków nade wszystko radziły *nagiąć naturę swego dziecka*.

Na Matki-Polki naszych czasów spadają wielkie zadania wychowywania człowieka *wyższego, szlachetniejszego typu, który będzie poręczycielem dobra kraju i ludzkości*, przy rozwinięciu sobie *przyrodzonych pierwiastków* duszy: jej władz duchowych i moralnych nade wszystko.

Z Czytelniczkami Bluszczu dzielimy się przeto skwapliwie wskazaniem nowych badań naukowych, mających za zadanie — kształtowanie „człowieka przyszłości”.

Ufamy, że powrót do kraju dr. Joteykówny, znakomitej naszej rodaczki, 5-cio krotnie laureatki, uczonnej europejskiej miary, przyczyni się do postępu i na naszym gruncie w kierunku *zastosowań praktycznych* wielkich wyników wiedzy doświadczalnej — w systemach psychologii wychowawczej dla nowych pokoleń wolnej Polski.

OTWARCIE WYSTAWY DRUKARSKIEJ.

W d. 8 b. m. o g. 12 w południe w kamienicy Baryczków na Starem Mieście nastąpiło uroczyste otwarcie wystawy drukarskiej, ilustrującej rozwój grafiki polskiej, a w szczególności kulturę książki u nas od XV w. po dzień dzisiejszy.

Uroczystego przecięcia wstęgi przy wejściu, po okolicznościowym przemówieniu prezesa wystawy, p. Mieczysława Rulikowskiego, dokonał Naczelnik Państwa Józef Piłsudski, poczem licznie zgromadzeni przedstawiciele władz, ambasady oraz sfer artystycznych i literackich stolicy z J. E. Kard. Kakowskim, J. E. Bisk. Gallem oraz z min. Darowskim na czele spędzili miłą godzinę na oględzinach eksponatów, efektownie rozłożonych we wszystkich salach starej patrycjuszowskiej siedziby.

ZWIĄZEK HARCERSTWA POLSKIEGO.

Otrzymałmy odezwę następującą:

Jednym z najważniejszych zadań Związku Harcerstwa Polskiego, obok zaszczepiania rycerskości i obywatelskości w sercach naszej młodzieży — przyszłości naszego Narodu — jest czuwanie nad jej należytych rozwojem fizycznym. Da się to osiągnąć przez oderwanie młodzieży od życia wielkomiejskiego i danie jej możliwości odetchnięcia świeżym i zdrowym powietrzem wsi.

Dzięki życzliwości i poparciu Władz Centralnych i Samorządowych naszego młodego Państwa, a także ofiarności społecznej udało się dotąd corocznie wysyłać setki dziewcząt i chłopców czy to na kolonie czy też na wycieczki wędrownie.

Jeszcze obecnie jak w okresie minionej wojny wiele rodzin jest pozbawionych możliwości wysłania swoich dzieci na wieś, a wskutek tego kadry tych, którzy powinni korzystać z letniego wypoczynku na wsi znacznie wzrosły.

Zarząd Oddziału Warszawskiego Z. H. P. pragnie w roku bieżącym dać młodzieży zasłużony wypoczynek w czasie tegorocznych wakacji letnich. Nierozporządzając jednak środkami materialnymi i nie mogąc liczyć na potrzebny do tego celu zasilek od Rządu, zwraca się z gorącą prośbą do miejscowych kół obywateli naszego kraju, aby wzorem lat ostatnich nie odmówili swego życzliwego poparcia nie tylko w postaci ofiary w gotówce, lecz także w udzieleniu „dachu nad głową“, to znaczy odpowiedniego pomieszczenia na stałą kwatery zaopatrzoną w najprostsze sprzęty dla kolonii i w umożliwieniu dostarczenia jak najtaniej zdrowych i świeżych produktów spożywczych, a także w moralną opiekę nad temi grupami, które bez starszego doradcy znaleźć by się musiały.

Kolonja liczy od 20 do 40 chłopców lub dziewcząt i trwa do 8 tygodni.

Nieodzownymi środkami aprowizacyjnymi są: mąka, kasza, ziemniaki, nabiał, drzewo opałowe i t. p.

Rodzice uczestników kolonii, i wycieczek, przeciętnie są w stanie pokryć połowę kosztów utrzymania i urzędzenia. O opomieszczenie dla kolonii lub o brakującą część kosztów uprasza Zarząd Oddziału Warszawskiego Z. H. P., apelując do Obywateli Kraju, ufny, że organa naszego społeczeństwa, tak chętne i gorliwe w popieraniu szlachetnych idei harcerskich, nie odmówią swego współudziału w dziele ratowania zdrowia i sił najlepszej części naszej młodzieży.

Z PRASY.

Ukazał się Nr. 18 „Skamandra“ (za marzec). Na treść jego składają się poezje Antoniego Słonimskiego, Feliksa Przysieckiego, Leonarda Podhorskiego-Okołowa, Jana Chmielińskiego, poemat Guillaume Apollinaire'a w przekładzie Anny-Ludwika Czerny, dalszy ciąg powieści Jerzego Mieczysława Rytarda, „Wniebostąpienie“, opowiadanie Stanisława Balińskiego „Lustro“, trzy kasydy Jarosława Iwaszkiewicza, zwykle przeglądy miesięczne: literacki (Emil Breiter), teatralny (Wilam Horzyca), plastyczny (Zofja Stryjeńska), muzyczny (Jarosław Iwaszkiewicz) i varia. Okładkę rysował Roman Kramsztyk.

KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ.

Grono artystek polskich we Lwowie, walcząc z trudnościami i niechęcią, jakie praca kobiet zazwyczaj napotyka, postanowiło zrzeszyć się za inicjatywą generałowej Gabryeli Zaleskiej w stowarzyszenie, mające na celu, nie tylko popieranie własnych interesów, ale utworzenie nowej placówki kulturalnej. Stowarzyszenie to, pod nazwą „Związek Artystek Polskich“ istnieje od grudnia 1916 r., w którym to czasie urządziło swą I Wystawę Sztuki w sali Giełdy we Lwowie, wywołując tym krokiem wielkie zainteresowanie wśród szerokich kół społeczeństwa. Odtąd, dzięki solidarności, mimo braku środków materialnych i ciężkich warunków miejscowych, Związek stale zaznacza swą działalność artystyczną urządzając bądź Wystawy doroczne lub gwiazdkowe Wystawy szkiców. W r. 1919 dla uczczenia pamięci swego honorowego członka, urządził Związek przy swej II Wystawie Sztuki, zbiorową Wystawę prac śp. Marji Dulebianki, dając tem samem możność najszerszym warstwom społeczeństwa, zapoznania się z działalnością tej wybitnej pionierki społecznej, jako, nieposledniej miary malarzki. Zrozumienie, w czem leży siła każdej organizacji, serdeczne koleżeństwo i ofiarnosć w pracy około wspólnego dobra, to cechy znamienujące Związek, który niezmordowanymi wysiłkami, mimo coraz trudniejszych warunków, daje stale dowody swej wielkiej energii i niespożytej żywotności.

Gromadząc coraz liczniejsze grono młodych pracowników około siebie, dziś po 5-ciu latach istnienia Związek Artystek Polskich zjednał sobie nie tylko szczerą sympatię ogółu, ale i szacunek dla swej pracy organizatorskiej w kołach zawodowych artystów. Obyta wytkniętą drogą kroczył i nadal — w myśl hasła „gromada wielki człowiek“.

Irlandka-Minister.

Niezwykłym i ciekawym typem kobiecym jest niedoszła postanka do Izby Gmin, następnie minister pracy w gabinecie Sinn-Feinistów, w Dublinie, p. Markiewicz powszechnie w Irlandji tytułowana hrabiną.

Zamężna za Polakiem, przez ojca należy do starego irlandzkiego rodu, przez matkę, Angielkę miała wstęp do najlepszego Londyńskiego towarzystwa i w pierwszych latach młodości nawet była przedstawioną u dworu.

Celka w każdym calu, impulsywna jeszcze, nie mogła się dopasować do zwyczajów i temperamentu angielskiego i rzuciła się w wir życia artystycznego i walk politycznych.

Uzdolnienie jej jest wszechstronne; próbowała sił swoich i w teatrze i na polu poezji i malarstwa, ale nade wszystko jest patriotką Irlandzką.

W 1916 r. brała udział w ruchawce, zwanej „Wielkanocnym powstaniem“, kiedy to garść zapalczyków obwołała Republikę Irlandzką, kilka dni trzymała Dublin w swoim ręku, a uległa tylko pod gradem pocisków z ciężkich dział.

W liczbie owych 3000 powstańców byli tak dziś głośny De Valera i późniejszy minister Sinn-Feinn Cosgrave.

Pani Markiewicz, na czele 38 ochotników, okopała się i wzniosła barykady na jednej z ulic Dublinu; w męskim przebraniu, z rewolwerem w dłoni broniła się i własnoręcznie brała jeńców. Dopomagała jej skauci i skautki, którzy za nią byliby poszli w ogień.

Jednego z jeńców, oficera angielskiego strzegły uzbrojone w rewolwery cztery młode Irlandki. Jeniec zażądał, aby go stawiono przed wodzem i oświadczył, że „jest rzeczą niezgodną z honorem oficera i gentelmana pozostawać pod strażą dziewczyn ze spuszczo-nemi warkoczami“.

P. Markiewicz w przystępie wspaniałomyślności kazała puścić wolno jeńca, „który i tak jest do niczego, dla swoich nieużyteczny, a dla wroga nieszkodliwy“.

Przez cztery lata wojny cywilnej pani Markiewicz bywała niejednokrotnie więziona, a raz nawet skazaną na śmierć.

Jej zapału i patriotyzmu nie jednak złamać nie zdołało i do końca wytrwała na stanowisku niepodległości, domagając się zupełnej niepodległości, oderwania od Anglii i ogłoszenie Republiki Irlandzkiej.

Rzeczą znaną i godną zaznaczenia jest fakt, że ani p. Markiewicz, ani jedna z kobiet Irlandzkich, wchodzących w skład rządu Sinn Feinistów, nie uznały i nie podpisały zawartego z Anglią układu.

Posłanki w parlamencie Czecho-Słowackim, bez względu na narodowość i przynależność partyjną, zobowiązały się na posiedzeniach nigdy nie przerywać mówcy uwagami lub okrzykami, pragnąc tym sposobem przyczynić się do wprowadzenia w życie prawodawczym nastroju poważnego i prawdziwie parlamentarnego.

Księżna Bibesco żona posła rumuńskiego w Waszyngtonie, a córka byłego Angielskiego Premiera Asquitha wstąpiła w ślady matki i wydała książkę p. tytułem „Całą winę biorę na siebie“. Książka „ze zdumiewającą szczerością“, jak pisze New York Herald porusza zagadnienia wzajemnego stosunku obu pici i wywołała w dyplomatycznym świecie Waszyngtońskim prawdziwą sensację.

TREŚĆ № 17-go.

Wielki tydzień Europy — przez Irenę Pannenkową, Ekonomja a etyka — przez Cezarego Łagiewskiego, Opieka społeczna nad dzieckiem — przez dr. Tr. Ksawerego Cieszyńskiego. U prazródół komedji — przez prof. T. Zielińskiego. Esterka — przez Mieczysława Jarosławskiego. Z sali odczytów. — Otwarcie wystawy drukarskiej. — Związek harcerstwa polskiego. — Z prasy. — Kronika działalności kobiecej. — Dodatek artystyczny. — Dodatek powieściowy p. t. „Rozbitki“ — przez Rabindranath Tagore, tłumacz. — przez J. Buchholtzową. (ark. 3-ci).

OD WYDAWNICTWA

Prenumerata „Bluszczu“

miesięcznie - - - - - Mk. 600.—
z odnośnieniem do domu, lub przesyłką pocztową.

Zagranicą miesięcznie Mk. 2000.— Cena numeru pojedynczego Mk. 175.—

Zmiana adresu Mk. 100.—

REDAKCJA: Nowy-Swiat 41. *ow* Telefon 105-22.

ADMINISTRACJA: Pałac Staszycy Krak.-Przedm. 2, Koło Polek tel. 239-40.

CENY OGŁOSZEŃ.

Strona	Cała	1/2	1/4	1/8	1/16
Pierwsza . .	60.000	35.000	20.000	12.000	6.000
Tekstowa . .	70.000	40.000	25.000	15.000	10.000
Ostatnia . .	60.000	40.000	18.000	10.000	6.000

Klisze na koszt klienta.

OGŁOSZENIA przyjmują prócz administracji „Bluszczu”: Tow. Akc. „Reklama Polska”, Warszawa, Jasna 10, Biuro Ogłoszeń T. Pietraszek — Marszałkowska 115, L. i E. Metzl i Sp. — Marszałkowska 130, Biuro Dzienników S. Ungra — Senatorska 12, Polsko-Ameryk. Tow. „Nowa Reklama”, Długa 9 i I. Buchweitz — Marszałkowska 120.

Wydawca „KOŁO POLEK“.

Redaktorka: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (Łozińska.)

Zakł. Graf. B. Wierzbicki i S-ka w Warszawie, Chmielna 61.